NUMER 29. DNIA 20-go LIPCA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

WCZASY HISTORYCZNE.

„Należy w ogólności, na sposób wszechstronny i ścisły, rozwijać i kształcić samowiedzę historyczno-polityczną w obrębie zjawisk nowożytności dziejowej. Do takiego celu, obok uczonego szlaku, wolno pewnie i przystępniejszej spróbować drogi. Wolno czasem popróbować nie z ciężkiej erudycyjnej armaty, lecz z lekkiej impresyjnej flinty“ — powiada prof. Askenazy we wstępie do swych „W c z a s ó w h i s t o r y c z n y c h“, usprawiedliwiając wydanie tej książki. Jest ona zbiorem krótkich artykułów pisanych z powodu dzieł, dotyczących naszych dziejów ostatniej doby.

Artykuł „Ks. Adam Czartoryski ministrem rosyjskim“ — rozpoczyna od słów: „Do najdotkliwszych braków we współczesnej produkcji naukowej polskiej, zarazem zaś, co ważniejsza i gorsza, współczesnej kulturze duchowej polskiej, należy bezprzykładne zaniedbanie nowożytnych i najnowszych dziejów krajowych... Czemu nauka nasza, z nielicznemi wyjątkami, uparcie zamyka oczy na najżywotniejsze zagadnienia wczorajszej i onegdajszej doby? Czemu, cofając się raczej z pewną ostentacyjną predylekcją do epok odleglejszych, wyraźnie stroni od tej właśnie, tak ważnej, doby nowożytnej i od tych mianowicie, tak aktualnych, nowoczesnych zagadnień? Czemu wyrzeka się podwójnego obowiązku rozwidnienia ich corychlej, cojaśniej ku pożytkowi wiedzy i ogółu? Czemu pozwala opinji błąkać się tutaj poomacku i stopniowo zatracać pamięć i poczucie tych ostatnich i przedostatnich ogniw przeszłości, skąd bezpośrednio wyłania się teraźniejszość i przyszłość?“

Do wypowiedzenia uwag powyższych dały powód dwie prace niemieckie, posiadające doniosłość dla naszych dziejów porozbiorowych, a mianowicie prace: H. Ulmann'a „Ueber die Memoiren des Fürsten Adam Czartoryski“ i „Russisch-preussische Politik unter Alexander I. u. Friedrich-Wilhelm III. bis 1806“. Prof. Askenazy wspomina o materjałach wydanych, w języku rosyjskim, dotyczących działalności politycznej Czartoryskiego z owego okresu i zwraca uwagę na jaskrawy brak w literaturze historycznej polskiej prac o Ad. Czartoryskim. Postać ta olbrzymieje za czasów krytycznych Królestwa, poprzedzających wojnę 1830/1 r. Tu Czartoryski występuje i pozostaje do końca życia obywatelem, choć nie zawsze dorasta do miary wielkiego człowieka. Podbijając naszą sympatję swym charakterem w tym okresie, zmusza nas do pobłażliwych sądów i o pierwszym okresie jego działalności. Ilekroć o nim wspomina prof. Askenazy, nie tai on swych względem niego sympatyj. Jestto poniekąd zrozumiałem. Ks. Adam Czartoryski, przyjmując godność ministra,

nie zgodził się przyjmować ani pensji, ani orderów od cara rosyjskiego, oświadczył natomiast, że będzie ją piastował, dopóki nie zauważy rozbieżności polskich i rosyjskich interesów. Ale też pokolenie Czartoryskiego, to nie pokolenie dawnych przedajnych regimentarzów z czasów upadku Rzeczypospolitej, ani współczesnych galicyjskich, jakich wydaje kraj, upodlony 100-letnią niewolą, to pokolenie najlepszych pod względem moralności politycznej ludzi, którzy urodzili się wolnymi i pamiętali, jak i kiedy kajdany na kraj nakładano.

Rzecz naturalna, że był on pod względem etyki politycznej postacią jasną, ale rozpoczyna on szereg ludzi posuwających się po pochyłości Wielopolskich, Spasowiczów i Blochów, po pochyłości polskiego moskalofilstwa. Przykre, dwuznaczne stanowisko zajmował ks. Czartoryski w epoce Księstwa Warszawskiego, które powinno było być uważane przez owoczesnych Polaków za zarodek Polski niepodległej, na pewien czas ze sprawą napoleońską związanej. Czartoryski jednak pozostawał wierny swej koncepcji oparcia sprawy polskiej o Rosję. Nadszedł rok 1809, w którym Rosja, nominalny sprzymierzeniec Napoleona, faktycznie pomagała Austrji przeciwko Księstwu; niepodobna byłoby przypuścić, aby Czartoryski, powiernik Aleksandra I., posiadający rozległe stosunki ze sferami rządowemi Rosji, nie zdawał sobie sprawy z postawy Rosji w sprawie Księstwa.

Czartoryski nosił się z zamiarem połączenia wszystkich dawnych ziem polskich pod berłem rosyjskiem; przed 1805 r. projektował uderzyć całą potęgą rosyjską na Prusy, by odebrać im zdobycze polskie. Pomysł ten znalazł aprobatę carską. Czytamy we „Wczasach historycznych“:

„Za pośrednictwem posła rosyjskiego w Wiedniu, Razumowskiego, nawiązano rokowania o Galicję, ewentualnie wzamian za obietnicę powrotu Śląska pruskiego do Austrji. W połowie września 1805 r. armja rosyjska pod Kutuzowem w 50.000 ludzi, miała uderzyć na pruską Warszawę; druga armja pod Buxhoewdenem, miała w 100.000 ludzi z Grodna wtargnąć do Prus wschodnich; dwie armje Essena i Bennigsena miały poprzeć pierwsze natarcie. Równocześnie we wrześniu, cesarz Aleksander z Petersburga drogą na Brześć udał się do Puław. Tutaj, w pałacu starych książąt Czartoryskich, zamienionym na główną kwaterę cesarską, zgromadzili się dokoła cesarza Aleksandra przedstawiciele wszystkich dawnych ziem polskich, już niejako z wiernopoddańczem homagium.“

Całe źródło błędów politycznych ks. Czartoryskiego pochodziło stąd, że nie uświadamiał on sobie antagonizmów polskiej i rosyjskiej racji stanu. W artykule „Kongres Wiedeński“, zamieszczonym we „Wczasach historycznych“, prof. Askenazy zwraca uwagę na dwie koncepcje rosyjskie w sprawie polskiej, koncepcji Piotra I. i Katarzyny II. Piotr W. zamyślał pierwotnie o objęciu całej Rzeczypospolitej, bez żadnego udziału sąsiadów. Katarzyna II. przyjęła mniej rozległą, a łatwiej wykonalną ideę rozbiorową.

Projekty Czartoryskiego, pociągając niektórych mężów stanu rosyjskich widmem potęgi wszechświatowej, jakie one mogłyby dać Rosji, skłoniły ich i Aleksandra I. do powrotu do dawnej koncepcji Piotrowej. Dla jej urzeczywistnienia nastąpiła chwila nader przyjazna w 1814 r.

„Superarbitrem, głową Kongresu był dotychczasowy wódz naczelny koalicji, cesarz Aleksander I. W jego to ręku spoczęły teraz losy tamtej najpierwszej sprawy kongresowej“ (sprawy polskiej). Stanowisko cesarza Aleksandra było tutaj całkiem wyjątkowe. Dwaj obecni jego sojusznicy, a dwaj wczorajsi uczestnicy traktatów rozbiorowych, już oddawna, w czasie minionej zawieruchy napoleońskiej byli zmuszeni w znacznej mierze odstąpić od onych pierwotnych traktatów podziałowych, już byli postradali w znacznej części zyskane wtedy nabytki polskie. On jeden był pozostał nietykalnym posiadaczem obszarów, przydzielonych jego państwu przez trzy rozbiory Rzpltej. W dodatku do tych obszarów, do pierwotnych działów rosyjskich, wnuk cesarzowej Katarzyny przyłączył wszystkie bez wyjątku odłączone działy sąsiednie, potracone przez wnuków Fryderyka i Józefa. A więc nasamprzód był przyłączył część działu pruskiego z trzeciego rozbioru, obwód białostocki, oderwany od Prus i jemu ustąpiony przez Napoleona w 1807 r. Następnie przyłączył podobnież część działu austrjackiego z pierwszego rozbioru, obwód tarnopolski oderwany od Austrji i jemu odstąpiony przez Napoleona w 1809 r. Następnie obecnie od półtora roku, od początku 1813 r., był posiadaczem całego Księstwa Warszawskiego, jak było stworzone przez Napoleona w 1807 r. i rozszerzone w 1809. Księstwo obejmowało teraz mianowicie: Dwa działy pruskie z Poznaniem i Warszawą z drugiego i trzeciego rozbioru, oraz część działu austrjackiego z Krakowem z trzeciego rozbioru. Tym sposobem w obecnej chwili cesarz Aleksander I., stanąwszy na czele Europy, jak tryumfator, równocześnie rozkazywał jako władca w Poznaniu i Wilnie, w Toruniu i Tarnopolu, w Krakowie i Warszawie... Nigdy, ani wcześniej, ani później, Rosja, krępowana przez współzawodnictwo sąsiadów, nie

potrafiła w sprawie polskiej posunąć się tak daleko, jak w tej właśnie chwili“ (Wczasy historyczne str. 158—159.)

Dlaczegoż Aleksander I. nie wyzyskał sytuacji, nie zapanował nad Polską? Z Prusami i Austrją toczyły się pertraktacje. Za dział polski Prusy miały otrzymać Saksonję; za resztki Galicji, pozostające w posiadaniu Austrji, proponowała Rosja odszkodowanie Austrji w Illirji, we Włoszech, albo nad Renem.

Prof. Askenazy znajduje, że wyżej wspomniane plany Czartoryskiego z 1805 r. odpowiadały interesom Rosji, zwraca uwagę na to, że tacy patrjotyczni rosyjscy mężowie stanu, jak stary kanclerz Woroncow aprobowali te plany, że statyści i historycy Rosji oddają im sprawiedliwość. Sam atoli szanowny autor przytacza, że młody Dołgorukij był przeciwnikiem akcji Czartoryskiego z 1805 r.; przeciwnikami projektów Aleksandra I. z 1814 r. byli najwybitniejsi dostojnicy rosyjscy, jak: Rumiancew, Sałtykow, Łopuchin i wogóle całe otoczenie cesarzowej-wdowy po Pawle I. Generał Uwarów, powiernik barona Kollera, wysłanego z Wiednia do Petersburga, zapewnia Franciszka I., że „cesarz Aleksander I. całkiem wyrzeka się ulubionego swego projektu, który byłby zgubny dla interesów Rosji“ (166). Znany historyk rosyjski Kluczewskij w swych wykładach w Moskwie uważał, że błędem było ze strony Rosji przyłączać Królestwo — ze względu na to, że fakt ten utrudniał asymilację Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy.

Europa, chociaż na czele jej stał Aleksander I., na kongresie wiedeńskim była przeciwną zwiększeniu sił Rosji przez dodanie jej działu pruskiego i austrjackiego. Ten fakt historyczny, jak i powyżej przytoczony stosunek mężów stanu rosyjskich do zjednoczenia Polski nie są dla nas faktami tylko historycznemi. One mają aktualne znaczenie polityczne, mówią one, jak płonnemi są nadzieje pewnej części Poznańczyków wyzwolenia się z pod Prus przy pomocy Rosji i zjednoczenia z działem rosyjskim. Bezpłodne w swych pozytywnych skutkach nadzieje te zatruwają tylko ogólną świadomość polityczną polską.

Przykład powyższy może służyć jako dowód, jak wielkie znaczenie polityczne, mogące chronić nas od błędów, może mieć znajomość dziejów porozbiorowych.

W artykułach: Szwoleżerowie (Wczasy historyczne 77 — 90) i Sprawa polska na Kongresie wiedeńskim (Ibidem 152 — 168) prof. Askenazy podnosi myśl, już ilustrowaną przez niego w uprzednio wydanem studjum o Wielohorskim, jak olbrzymie polityczne znaczenie posiada wytworzenie siły zbrojnej polskiej na nasze sprawy.

„Kraj ten (zabór pruski) wczoraj pruski, dziś francuski, jutro warszawski, ostatniemi czasy był przechodził koleje zbyt gwałtowne i zbyt raptowne, ażeby w nim opinja publiczna już zdążyła ostatecznie i nieodwołalnie wyklarować się i ustatkować. Przeciwnie, były tam niektóre wpływy dość znaczne, niektóre usiłowania wcale wyraźne, pociągające opinję w zgoła odmiennym kierunku, mącące ją i wytrącające z równowagi... Nie dziw, że można było poniekąd dawać ucho widokom i propozycjom, przychodzącym z wprost przeciwnej strony i przeciwnego obozu. Zaś takie propozycje i widoki nie były bynajmniej nowością. Dopiero niedawno, przed półtora rokiem zaledwo, nadchodziły one do pruskiej jeszcze wtedy Warszawy z kwatery głównej cesarza Aleksandra w Puławach, jesienią 1805 r. Obecnie na wiosnę 1807 r. przychodziły do francuskiej Warszawy z kwater rosyjskich w Taurogach i Bartoszycach.... (84. Ibidem.)

W takiem położeniu stworzenie polskiego pułku szwoleżerów przybocznej gwardji cesarskiej, wcielenie młodzieży najpierwszych domów polskich bezpośrednio do szeregu służby francuskiej, wydało się niezawodnie środkiem nader po temu skutecznym. Myśl ta, zdaje się powstała nagle i natychmiast została urzeczywistnioną (86. str.).

W artykule: „Sprawa polska na Kongresie wiedeńskim“, znajdujemy następujący ustęp:

Już nietylko obszar terytorjalny przyszłego Królestwa został zakwestjonowany, lecz, co najważniejsza, sama jego organizacja ustawodawcza podaną została w wątpliwość. W tej chwili krytycznej, w sprawy wiedeńskie wikłające się coraz bardziej, wdał się powagą i stanowczością Komitet Wojskowy Organizacyjny warszawski.... Mądre, dojrzałe i mocne memorjały Komitetu Wojskowego... niepomału przyłożyły się do pomyślnego, chociażby w części, zdecydowania losów b. ks. Warszawskiego i do wzmocnienia nowej budowy Królestwa Polskiego.

Wobec tego, że antagonizm mocarstw na kongresie mógł doprowadzić do wojny europejskiej, postawa siły zbrojnej polskiej nie mogła być obojętną.

Nie możemy ani rozpatrzeć wszystkich kwestyj, jakie nasuwa praca prof. Askenazego, ani też obfitej treści tej niedużej, ze względu na rozmiary książki, zwracamy tylko szczególniejszą uwagę czytelników naszych na szkic o p. Spasowiczu, wykazujący, jak ten ugodowiec posiłkował się dziejami, prawem i szkicami literackiemi dla polityki rosyjskiej w Polsce, jak wskutek tego prace tego zdolnego człowieka bywały często płytkie i koszlawe.

Wł. Studnicki.

EMMA JELEŃSKA

Z MIŁOŚCI. 1)

Jutro mój ślub. Jutro! Spać nie mogę, drżę cała... Więc jutro już będę jego — jego na wieki. Cała moja istota rwie się do niego, leci ku niemu... A jednak boję się... Dlaczego ja się boję?

O, ty, Karolu! kocham cię, ubóstwiam — i aż omdlewam z miłości. I wiem, że ty mię kochasz, żeś mnie wybrał wśród mnóstwa, nie dla piękności, ani dla bogactwa, ani dla stosunków, bo jestem biedną sierotą i mój nędzny posażek nie mógł cię znęcić — ale dlatego, żeś mnie pokochał i że cię do mnie popchnęła ta sama siła, co mnie ku tobie iść kazała — siła miłości! Kochamy się — i to wzniośle, pięknie — nie dla ładnej twarzyczki, lub dla sumiastych wąsów, ale dlatego, że się nasze dusze zrozumiały, poczuły, iż są sobie pokrewne i odrazu poleciały ku sobie, jak dwa stęsknione ptaki.

Od pierwszej chwili, od pierwszego wejrzenia wiedziałam, że on jest dla mnie jedynym na całym świecie. Moje smutne dzieciństwo, moja młodość sieroca, brak matki, której poczciwa ciocia pomimo najlepszych chęci nie mogła zastąpić, ta moja bezdomność i ta obcość dokoła — wyrobiły we mnie gwałtowną, żrącą tęsknotę do kogoś, coby był moim niepodzielnie i któryby mnie miał za swoją. Od dzieciństwa marzyłam o miłości — o tak olbrzymiej, wszystko pochłaniającej miłości, że już na nic innego miejsca w duszy nie zostaje i że wszystko inne, przez pryzmat tej miłości jedynie się dostrzega — o tak wzniosłej i jasnej, że opromienia swą jasnością świat cały i ludzi i rzeczy nią powleka — o tak słodkiej, że kwasy i gorycze wszelkie w sobie roztapia — o tak szlachetnej i czynnej, że dokoła siebie roztacza ciepło, i szczęście, i dobro, i wesele. Marzyłam o tym człowieku, co się zjawi w mem życiu, wejdzie i powie: Czekałaś na mnie — oto jestem, chodź ze mną. I w marzeniach moich, człowiek ten był rozumem, dobrem, cnotą, nauką, czynem i dzielnością, był uosobieniem wszystkiego, co za doskonałość nauczyłam się uważać. A ja dla niego byłam pięknem, ciepłem, jasnością, zachętą, przyjacielem najbliższym, towarzyszem, doradcą i natchnieniem, byłam wdziękiem i radością jego życia, powiernikiem najskrytszych myśli, wspólnikiem pracy...

Tak marzyłam. I chociaż nieraz dokoła mnie mówiono, że marzenia się nie sprawdzają, że życie jest jednem pasmem cierpień i że szczęście nie jest z tego świata (szczególniej ciocia często to powtarzała — ale, mając takiego męża jak wujaszek, to nic dziwnego, biedna Ciocia!) ja w to wszystko ani trochę nie wierzyłam i uparcie czekałam szczęścia. Czekałam dość długo — mam już dwadzieścia dwa lata — i chociaż się starał o mnie pan Eustachy, tak zwana dobra partja! — i ten ładny doktor z Warszawy, ja ani chwili nie wahałam się — ku wielkiej rozpaczy wujostwa — obu z niczem odprawić. Ciocia ciągle przepowiadała mi, że zostanę starą panną, co dla mnie miało być niebezpieczniejsze, niż dla innej — nie wiem już dla czego — ale ja wie-

działam co robię, i wiedziałam, że przyjdzie szczęście.

No i przyszło. I niech teraz pochowają się ze wstydem ci, co mówią, że życie jest pasmem cierpień, że szczęście nie z tego świata i że marzenia się nie sprawdzają. Moje marzenia się sprawdziły i szczęście moje jest w mej dłoni. Trzymam je mocno — i nie puszczę.

Wiem, wiem. Mogą przyjść troski, i choroby, i niepowodzenia. Ale czemże będą one wobec naszej miłości? I co nam może zaciężyć, gdy każdy ciężar dźwigać będziemy we dwoje?

A wcale nie przez zakochanie, ani zaślepienie to mówię. Karola kocham nad życie — ale gdyby miał jakie wady, tobym je przecie dostrzegła. Nie, jemu nic niema do zarzucenia. Wszyscy wiedzą, że to człowiek wyjątkowy. Był dla rodziców najlepszym synem, dopóki żyli, jest uważany za jednego ze zdolniejszych prawników w X., pracowity, wykształcony, rozumny, napisał już parę książek treści prawnej. Ale to wszystko nic jeszcze. Niema społecznej sprawy, niema kwestji ogólnej, narodowej, którejby on nie był inicjatorem. Cały oddany na usługi społeczeństwa, ciągle tam coś urządza, tworzy, organizuje. A to wszystko dla dobra ludzkości i kraju. Mówił mi jego przyjaciel, pan Bohdan Rucz, który teraz przyjechał na nasz ślub, że taki człowiek więcej robi sam jeden, niż stu innych. „Wygrała pani wielki los na loterji“ — powiedział do mnie — „niechże go nam tylko pani nie zmarnuje“.

O, nie! nie! Zmarnować go nie chcę. Owszem, dopomódz, o ile mi sił starczy, wesprzeć w chwilach trudniejszych — i razem iść, i razem służyć — temu, co on tak ukochał. O „tamtę“ nigdy zazdrosną nie będę, przed „nią“ zawsze ustąpię, zawsze schylę czoło. Zresztą, przy nim i przez niego, sama ukocham „ją“ więcej jeszcze, niż dotąd. On mię wtajemniczy w tę świętą wiarę, której jest wyznawcą takim gorliwym. I będziemy pracowali razem.

Ja miłość tylko tak rozumiem: zjednoczenie nietylko losów i majętności, lecz przedewszystkiem dusz i myśli. I pewna jestem, że Karol tak samo to rozumie. On jest małomówny, zwłaszcza niechętnie mówi o sobie. Jak wszyscy ludzie poważni i wielkiej wartości, skromny jest i nie cierpi komplementów. Ale to dobrze wie, bo mu sto razy mówiłam, że ja nie chcę być mu tylko salonową ozdobą — ale że pragnę dopomódz mu we wszystkiem, i że wierzę w niego niewzruszenie, i że każde jego życzenie będzie dla mnie rozkazem. O, nie dlatego wcale, abym uznawała wyższość mężczyzny nad kobietą! Ani trochę! Ich ten wielki rozum nic mi nie imponuje, i wiem dobrze, iż kiedyś kobiety zajmą zupełnie inne stanowisko w świecie.

Ale Karol — to zupełnie co innego! Te prawa, którychby żadnemu nie przyznała nad sobą, jemu daję z rozkoszą, bo on jest tak od wszystkich inny i tak od wszystkich więcej wart. Jemu być uległą i sąd swój pod jego sąd poddawać — bynajmniej się nie wstydzę. Wiem, że nie jestem ograniczona, że więcej od zwykłych panien czytałam i myślałem, że jestem dość wykształcona i mam, jak mówią, otwartą głowę, że nawet uchodzę wśród znajomych za postępową i „mądrą“ — jednak odemnie do Karola jest jeszcze wielka różnica. Uznaję ją pierwsza.

O, tak! nietylko uznaję, ale dziwię się i dumną jestem z tego, że taki jak on wybrał mię za żonę i że mnie kocha. Ach, bo kocha mię prawdziwie. Dziś, gdyśmy dawali sobie dobranoc — ciemno było na balkonie i byliśmy sami — objął mnie, przyciągnął do siebie i rzekł: „Jutro...“ Boże! jak on to powiedział! Dreszcz mną wstrząsa, gdy myśię o tej chwili.

Ach, jutro! jutro!

Wszyscy śpią dokoła, pomęczeni weselnemi przygotowaniami. Cicho — i nigdzie światła. I noc ciemna i cicha zapadła nad mojem ukochanem Polesiem. Na niebie chmury i tylko tam na zachodzie mruga jedna mała gwiazdka. Drzewa stoją czarne, i gałęzie wyciągają na tle nieba — a z dołu dochodzi mnie zapach liliji — widzę je bielejące tam na klombie. Przeczyste swe kielichy podnoszą ku mnie — i zdają się mnie żegnać swą przecudną wonią. Żegnajcie, kwiaty! Żegnajcie, drzewa i rzeko moja ukochana, i wy, łuhy bezgraniczne, po których marzenia moje latały przez lat tyle! Już mię nieprędko zobaczycie! Już mię zabiera ten, którego przyjścia wyglądałam — zabiera mię ze sobą daleko, daleko! Idę za nim, bom jego duszą i ciałem. Trochę mi was żal, trochę mi straszno was porzucać — ale woła na mnie głos nad wszystko potężniejszy, miłość nad wszystko silniejsza — więc idę! idę!

Jutro mój ślub. Ileż razy w marzeniach przyszłości chwilę tę sobie wyobrażałam! A teraz, gdy nadeszła, jakże jest inną od moich marzeń.

Nudzą mnie te tysiączne drobiazgi z nią związane — troska o pokrowce na kufry, o wypranie jakiegoś tam szlafroczka, o kwiaty do obiadu, o szpilki do mirtowych bukiecików, o świeżość jarząbków, o pościel dla gości, o ułożenie toastów etc. etc. Widok biednej cioci zamęczonej, niewyspanej zatruwa mi radość. Ale, dzięki Bogu, jutro będzie koniec — wypełnimy wszystkie te nieznośne ceremonje, powiem : Biorę sobie ciebie i t. d., wypijemy swoje zdrowie, wysłuchamy wszystkich umoralniających przemówień, których nam nie pożałują ani proboszcz, ani wujaszek — i wyruszymy w świat — we dwoje!

Ach, ta podróż! wszystko we mnie skacze z radości na samą myśl o niej. Nigdy nie byłam za granicą i ani się spodziewałam, że to może tak prędko nastąpić. Aż mi Karol niespodziankę zrobił i oświadczył raptem, iż na całe sześć tygodni wyjeżdżamy do Szwajcarji i do Wenecji. Zrobił to jedynie dla mnie, bo sam zna już te kraje, a koszt to niemały. Ani mi się śniło! Jaki on dobry!

I jak dobrą ja muszę być wzamian dla niego! Tak dobrą, aby on nigdy, nigdy z mego powodu nie miał chwili zmartwienia. Ale zdaje mi się, że to mi łatwo przyjdzie — tak go kocham!

Dziwne jednak, że ciocia wygląda, jak gdyby trochę o tem wątpiła — nie o mojej miłości, ale o mojem szczęściu. Dziś była bardzo zabawna scena. Poczciwa ciocia czuła się w obowiązku mnie przed ślubem oświecić i objaśnić czem właściwie jest małżeństwo. Ściągała z tą przykrą powinnością do ostatniej chwili, i wreszcie dzisiaj przyszła do mojego pokoju, usiadła i czerwieniąc się jak podlotek, przełykując, jąkając się, i „robiąc ogródki“, zaczęła mówić, że są „niektóre rzeczy“, mogące zrazu dziwić, że mąż ma „niektóre prawa“, które się mogą wydawać niewłaściwe i t. d. Z początku nie mogłam zrozumieć, o co biednej cioci chodzi. Ale nagle jasność zrobiła się w mej głowie — i wybuchłam śmiechem. „Cioteczko! ja to wszystko lepiej wiem od cioci“. Spojrzała przestraszona. — „Co ty mówisz, Wandziu! Jakże panienka?... — „Ależ Ciociu! Wiem, wiem! Takie jak ja panienki od piętnastego roku życia szperają po książkach, węszą wszędzie — no, i wszystko wiedzą. Niech się ciocia nie fatyguje mnie tłumaczyć“. Westchnęła. Czuła ulgę, że tak przykry obowiązek został usunięty. Ale była zgorszona. Pokiwała głową, dziwiąc się — nie rozumiejąc, i wreszcie rzekła: „Może to i lepiej, moja Wandziu, że jesteś przygotowana do wszystkiego. Za moich czasów, jakoś to bywało inaczej. No i teraz. Aleś ty zawsze była inna jakaś“... — „Emancypowana, cioteczko!“ — A tak, emancypowana. Tak, moja Wandziu! Przyznam się, nigdy nie wiedziałam, jak tobą kierować — w głowę nieraz zachodziłam: czy lepiej tak, czy tak? Chwała Bogu, teraz znalazłaś sobie drogę“. — „Ciocia rada, że się mnie pozbywa“ rzekłam z wymówką — i nagle rozpłakałam się. Ciocia zaczęła mię uspokajać i całować, ale płakała także. — „Bardzo nam tu będzie pusto bez ciebie, moja Wandziu“, — mówiła — „ale kłamałabym, twierdząc, iż nie jestem rada. Owszem, na twój charakter lepiej, że wcześnie wychodzisz za mąż — bo — powiem ci to szczerze — mogłabyś zdziwaczeć. A Bóg ci daje takiego porządnego człowieka! Nawet wujaszek twego pana Karola bardzo chwali“. — „Spodziewam się!“ zawołałam, trochę dotknięta tem „nawet wujaszek!“ Dziesięciu wujaszków oddałabym za jednego pana Karola. Także! „nawet wujaszek!“ Już to, co do mnie, nigdy mi wujaszek niczem nie imponował. Egoista — i już! I trzeba tak anielskiej dobroci jak cioci, żeby tego nie czuć i módz takiego kochać.

Otóż ciocia, widząc, że już oświecać mnie co do „niektórych rzeczy“ nie potrzebuje, zaczęła mówić w ogóle o pożyciu małżeńskiem i o postępowaniu żony względem męża. Wedle cioci, żona powinna być duszą, ciałem i umysłem oddana mężowi. On jest dla niej początkiem i końcem stworzenia. Wszystkie swe chęci do niego stosować, wszystko, co mu się nie podoba powinna w sobie wykorzeniać, woli swej nie narzucać nigdy. Słowem, ma się stać jego podszewką, skrajaną na jego wzór, przystosowaną akuratnie, miękką, jedwabną, ciepłą, wygodną i niewidzialną. Żadnych osobistych marzeń, ani pragnień, ani dążności — żadnej indywidualności — żadnego wyraźnego *ja*. Nic! podszewka — i dosyć! Tym jedynie sposobem, wedle cioci, można męża przywiązać i dać mu szczęście. Tego zresztą wymaga prawdziwa religja.

Tu w przemowie cioci nastąpiła pauza. Wchodziłyśmy na temat religji i pobożności — a to temat bardzo dla nas obu drażliwy.

Dziś jednak, przed ostatecznem pożegnaniem, czuła, iż powinna mi coś o tem powiedzieć, ale

lękała się zadrasnąć, lękała się wywołać we mnie protest. Więc znowu znalazła się w kłopotliwem położeniu, ale tym razem szczęśliwiej wybrnęła. Otworzyła mi ramiona — te serdeczne, kochające ramiona, które macierzyńskiemi były dla mnie — i objąwszy mnie, zaczęła cicho mówić: „Bo widzisz, moja Wandziu, obawiam się dla ciebie twego własnego charakteru, przy braku największej podstawy, jaką jest religja. Ty jesteś na nieszczęście bardzo absolutna — tak w swoich uczuciach, jak i w swoich sądach. Kochasz pana Karola i jesteś przez niego kochaną — to już wielkie szczęście, i więcej żądać nie trzeba. Ale ty, jeśli nie znajdziesz w nim ideału zupełnego, to się zrazisz, powiesz sobie zaraz: oszukałam się — i jeden, niewielki może, brak zasłoni przed tobą inne jego zalety. A tak nie może być. Niema człowieka doskonałego i twój pan Karol pewnie też ma wady. I niema na świecie małżeństwa, gdzieby i jedno i drugie nie miało czegoś do zniesienia, a żona zawsze więcej od męża. Więc w tem znoszeniu i w tej wyrozumiałości jedyną pociechą i pomocą jest wiara. Kto ma wzrok zwrócony do nieba, a na tej ziemi gości tylko jak na popasie, ten każdy zawód i każdy smutek spokojnie zniesie. A ty, nie mając tej pociechy — co zrobisz, gdy nadejdą smutki?“

Długo ciocia w tym tonie mówiła. Rozrzewniłyśmy się i zapłakałyśmy obie. Ale nie przekonała mnie. Mój Boże! przecież tak znowu smutnego życia z Karolem mieć nie mogę, abym aż na tamtym świecie miała szukać pociechy! Rozumiem, że ciocia to mówi, bo sama była i jest nieszczęśliwą. Ale ja! Karol — to nie wujaszek. Mogę być spokojną.

Zresztą, Bóg mi świadkiem, że nie bezmyślnie się zapatruję na moje obowiązki, i że całem sercem postanawiam być mu żoną dobrą i zrobić z siebie wszystko dla niego.

Świta już. Na łąkach wstają mgły. Ptaszki się budzą wśród gałęzi. We wsi, z chat zaczynają się snuć szare smugi dymu.

A więc nadszedł dzień wielki — dzień szczęścia i miłości!

Dzisiaj mój ślub! Dzisiaj mój ślub!

II.

Pociąg wszedł zwolna na dworzec w X. Był zmrok, i nad miastem, nad wieżami kościołów, nad kopułami cerkwi, nad pagórkami w dali, rozlewała się karminowa, płomienna zorza zachodu. Na dworcu panował ruch, hałas, tłok i tupanina. Lokomotywy wyrzucały z siebie ostre gwizdania, koła stukały głucho o szyny, ludzie biegali tu i ówdzie z tłumokami, rozpychając się wzajemnie, żandarmi brząkali ostrogami o płyty kamienne.

U drzwi poczekalni pierwszej klasy stał z cygarem w ustach, w jasne palto ubrany młodzieniec, wspierając się obu rękami na lasce. Śledził pilnie wysiadających z pociągu podróżnych. Szare jego oczy, wypukłe i blade, ruszały się niespokojnie i wciąż przymrużały. Odprowadzały każdą wychodzącą z wagonu postać aż do drzwi — i znowu biegły ku wagonom, i szukały w tłumie. Usta zaś, pełne i soczyste pod młodzieńczym wąsem, wydymały się i krzywiły z niezadowolenia, a noga w żółty bucik ubrana, uderzała niecierpliwie o asfalt — i znać było, że młodzieniec zaczyna się gniewać.

Podróżnych było już coraz mniej. Platforma oczyszczała się zwolna. — „Musiałem ich prześlepić“ szepnął — i zawrócił się ku drzwiom. „A może nie przyjechali“.

We drzwiach, tragarz objuczony paczkami i dwie panie z dzieckiem zagrodzili mu drogę. Stanął więc znowu, wyczekując.

Aż nagle, tuż za nim wykrzyknął głos męski:

— Antek! Ty?... Zkądże?... — I silna ręka uderzyła go po ramieniu.

— Karol! No... przecie... — pocałowali się. — A ja tu za wami oczy wypatruję. Z pociągu wszyscy już wyszli. Myślałem żeście nie przyjechali. I pani... — dodał, zdejmując kapelusz przed nadchodzącą panią Karolową. — Przedstaw że mnie...

— A prawda — nie znacie się jeszcze. Wando, to Lutek — wiesz, Lutek Korzyński, największy niedołęga, ale i najpoczciwszy chłopiec w Litwie i Koronie. (C. d. n.)



JÓZEF JEDLICZ.

Z „Legendy pól".

GODZINA TRWOGI.

Na czarnych dnach jeziornych, rozlanych w granicie,
Czuwają wciąż — wiem dobrze — w tajni mroków szarej,
Straszne, pełne tajemnic, dziwaczne poczwary —
Wnet powstaną... z wylękłych wód wypełzną skrycie...

Idą już... z czarnej gęstwi sennych mgieł i borów...
Nie wiem, jakie ich kształty i jakie ich imię —
Idą mi sen zamącić oczyma upiorów,
Roztoczyć nad mą duszą swe macki olbrzymie...

Wnet przerażą mię dreszczem żałoby i trwogi
I staną przy mnie groźne, nieme i potworne —
Wnet oplotą mię zdradnie w swój pierścień złowrogi
I utkwią w mych źrenicach swe oczy upiorne.

CICHY MISTRZ.

Rzekł cichy mistrz: nim szczęście znajdziesz i utracisz,
Niech czynem złotoplennym wschodzi twoje słowo —
O, duchu mój, stęskniony do samotnych zacisz,
Pójdź i w postach i trudzie odródź się na nowo!

Niech w ciszy zgaśnie w tobie słabość i niepokój,
Na chłodzie ros się hartuj, w płomienistej zorzy
Czerp żar i w kryształ blasku trwożne serce okuj,
Niechaj na ból bez lęku całe się otworzy.

Rzekł cichy mistrz: trwaj w prawdzie, a zgoją się blizny —
O duchu, wzrok twój zanurz w zdroje dumań święte,
Byś na dnie czar weselnych nie szukał trucizny,
A w dniu klęski niósł serce dumne, nieugięte.

Dr. B. DYBOWSKI

O znaczeniu i doniosłości teoryj mutacyjnych i ewolucyjnych w nauce i w życiu.

V.

Zdanie „posła prawdy“, przytoczone powyżej w całej jego rozciągłości i z małymi tylko dodatkami maluje dosadnie pewne strony produkcji artyzmu i poezji nowszych czasów, teraz zaś przywiodę tu parę poglądów, odnoszących się do innych sfer życia społecznego doby obecnej.

I tak, powiada autor pewien, że deprawacja moralna pod wpływem przewrotności dyplomatycznej międzynarodowej, dla której wszystkie drogi są dobre, byleby prowadziły kłamstwo i obłudę do zwycięstwa ostatecznego, przybrała w ostatnich czasach rozmiary zastraszające.

Dla każdego, co chce i potrafi zastanowić się nad faktami spostrzeganymi, widocznem się stanie, że nauki, tak zwane humanitarne, stały się wprost służebnicami płatnemi, sprzedającemi się jak nierządnice publiczne. Całe czeredy ludzi, poświęcających się owym naukom, oświadczyły się za najbrutalniejszą i najbardziej cyniczną działalnością organów państwowych. Inne falangi takich uczonych, uzbroiwszy się w fałsz i kłamstwo, szerzą niemoralny szowinizm narodowy lub społeczny i wyzyskują najnikczemniejsze instynkty zwierzęco-ludzkie, dla celów zadosyćuczynienia egoistycznym dążnościom państwa, plemienia — kasty lub warstwy społecznej. Jeszcze inni, pod maską obłudną uszczęśliwiania mas, podniecają namiętności tłumu, by przy ich pomocy sami wydźwignąć się potrafili na widownię polityczną.

Gwałt, brutalstwo, nienawiść, obłuda i reklama wzięły górę nad prawdą, sprawiedliwością i miłością, a jakby na urągowisko etyce wszystkie prawie najnikczemniejsze czynności ludzkie odziano szatą wspaniałą pozorów kłamliwych. Grabież i rozbój np. mienią miłością ojczyzny, kłamstwo — prawdą najświętszą.

Jeżeli się zastanowimy nad pytaniem, skąd się bierze ta niemoralność? gdzie szukać należy źródła złego? to na to mamy jedyną odpowiedź, iż przyczyną tego wszystkiego jest kłamstwo, mające swój szczyt wyniosły w teorjach mutacyjnych, stanowiących obecnie podwaliny światopoglądów nakazanych, zaś podstawę swoją szeroką tonące w alkoholizmie, dzisiaj powszechnym, trapiącym ludzkość od góry do dołu.

Żadne przemówienia dostojników, żadna rada ministrów, żadna sesja parlamentarna nie odbywają się na trzeźwo, a cała prawie ludność płci męskiej w Europie nie umie już dziś myśleć, mówić i działać bez podniety alkoholicznej. Posłowie w parlamentach i sejmach bez żadnego skrupułu, nie umiejąc zgoła odczuć całej hańby pijaństwa, raczą się trunkami alkoholicznymi w czasie sesji, gdy powinni byliby z całą trzeźwością umysłu swego radzić nad sprawami publicznemi.

Oto jest smutny obrachunek nikczemności, w których grzęzną społeczeństwa cywilizowane. Przedstawiłem o ile można dokładnie wpływ teorji cudotwórczych na rozwój i kierunek myśli ludzkiej nie rządzonej zasadami prawd przyrodniczych, lecz czynnych po za granicami nauki ścisłej.

Ale i w zakresie samej wiedzy wyłaniają się raz po raz tendencje, mające na celu wprowadzenie cudowności, a przynajmniej tajemniczości do teorji ewolucyjnej. O tych tendencyjnych teorjach tutaj słów parę powiedzieć wypada.

Cechę wspólną z teorjami uprzednio wymienionemi mają one tę, że przyjmują także możność raptownego, błyskawicznego prawie, powstawania form ożywionych, a więc mutacyjnego tworzenia się gatunków, a nadto przyjmują dwoiste właściwości organizmu ludzkiego. Pierwszą teorję taką mutacyjną miał już, według słów Quatrefages'a, wyłożyć Etienne Geoffroy St. Hilaire. Następnie Schopenhauer w 1851 rozwinął poglądy mutacyjne w teorji swojej, noszącej miano „generatio in utero heterogeno“. Skokowy też rozwój organizmów uzasadniał fizjolog Baumgärtner, stawiąc go w zależności nie tylko od przyczyn jakichś wewnętrznych, tkwiących w organizmach samych, ale i od zmian, mających się odbywać perjodycznie na kuli ziemskiej; zmiany takie nazywa Baumgärtner „prądami kosmiczno-życiowymi“.

W dalszym ciągu Aleksander Graf Keyserling przyznawał obecność jakichś cząsteczek, mających występować perjodycznie na ziemi, by zmienić chemiczną budowę zarodków i w ten sposób cudowny powodować powstawanie nowych gatunków.

Zwolennikami teorji skokowych, mutacyjnych byli, lub są dzisiaj jeszcze: Gabler, Owen, Mivart, Naudin, Koelliker, Korzyński i Hugo de Vries. Jedni nazywają teorje swoje teorjami mutacyjnemi, inni heterogenezą, ale wszyscy uznają możność raptownego powstawania nowych gatunków w pełni cech sobie właściwych, skutkiem wpływu okoliczności tajemniczych, które działać mają w kierunku postępowego rozwoju organizmów.

Teorje mutacyjne, dopiero co wspomniane, nie miały wielkiego rozgłosu i nie cieszyły się wziętością szczególniejszą. Koelliker'a teorja np., nosząca miano „generatio heterogenea“, znalazła mało zwolenników, jakkolwiek była rzekomo osnuta na podstawach mechanicznych. Każdy naturalista czuł to bardzo dobrze, że teorje mutacyjne są zwrotem do czasów przed Darwinem, do tych czasów, kiedy z katedr wykładano tajemnicze powstawanie gatunków nowych na łonie starych, w pewnych centrach twórczości organicznej, po przejściu perjodów jej bezwładności.

Dopiero teraz jedna z najnowszych teorji mutacyjnych, mianowicie Hugo'na de Vries'a rozbudziła pomiędzy botanikami silniejsze zainteresowanie i w chwili obecnej mamy pomiędzy nimi nawet i takich, którzy głośno przepowiadają, że teorja de Vries'a zada cios śmiertelny teorji doboru naturalnego. Wprawdzie zastrzegają się oni, że nie ma tu mowy o tem, ażeby ewolucjonistyczne zasady mogły być usunięte, lub zastąpione inną jaką teorją, i ażebyśmy obecnie mogli już zawrócić do poglądów doby ubiegłej. Tak głoszą owi botanicy, a jednak pomimo tych zapewnień, któż może odgadnąć, co na dnie myśli u nich spoczywa. Dzisiaj wszakże domagają się oni pozornie drobnej koncesji, bo chcą tylko, ażeby teorja skokowa zastąpiła teorję powolnego, stopniowego rozwoju, bo według ich zdania, pierwsza ma dużo dobrych stron za sobą i przewyższa pod wieloma względami drugą.

Najważniejszą jednak zaletą, przemawiającą, jakoby na jej korzyść ma być ta okoliczność, że się tu nie wymaga długich perjodów czasu dla wytworzenia nowych form, jak tego chce np. teorja doboru naturalnego. Ta oszczędność czasu ze strony mutacjonistow dziwne robi wrażenie i pozwala podejrzewać, że chyba grać też musi pewną rolę chęć pogodzenia tradycji, dotyczącej stworzenia świata, z nową ich teorją ewolucjonistyczno-mutacyjną.

Drugą, niemniej ciekawą stroną teorji de Vries'a stanowi rzekoma właściwość form, mutacyjnie zrodzonych, na mocy której przekazują one swoje cechy, raptownie uzyskane, z nadzwyczajną stałością na potomstwo, wtedy, gdy indywidualne odmiany, czyli elementarne, są niestałe, podlegają fluktuacji i nie przekazują się potomnie.

Formy mutacyjne przeżywają według teorji rzeczonej dwie różne fazy swego istnienia, pierwszą: bezwładności twórczej, drugą: czynności twórczej, w okresie pierwszym nie zmieniają się gatunki wcale, nawet wobec zmieniających się warunków otoczenia, dopiero w drugim okresie następuje zmiana raptowna i stajemy wobec nowej formy, dziwnie tajemniczo powstałej. Różnice pomiędzy odmianami mutacyjnemi, a odmianami elementarnemi przedstawia de Vries jako bardzo wydatne i łatwe do ujęcia, a mianowicie: cechy form mutacyjnych są jakościowe, a nie ilościowe.

Jeżeli poddamy owe różnice analizie ścisłej, to się przekonamy, że pomiędzy cechami ilościowemi i jakościowemi granicy ustanowić niepodobna. Otóż ta okoliczność stawia całą hipotezę de Vries'a na stopniu nie dających się dowieść teorji, jakkolwiek on sam jest tego przekonania, że właśnie ona eksperymentalnie traktowaną być może.

I tak doświadczenia swoje uskutecznił Hugo de Vries nad rośliną amerykańskiego pochodzenia aklimatyzowaną w Europie, zwaną Oenothera Lamarckiana Ser.

Z nasion okazów tego gatunku kultywowanych w amsterdamskim ogrodzie botanicznym powstać miały osobniki, noszące na sobie o tyle odmienne charaktery, że uważać je można było za nowe gatunki, które przekazywały dziedzicznie swe cechy na potomstwo, oczywista rzecz, że ta ostatnia okoliczność miała miejsce przy bardzo starannem pielęgnowaniu okazów i przy możebnie skutecznej ich ochronie przed krzyżowaniem.

Fakty wskazane dały powód do uznania form wyżej wymienionych za gatunki, przekazujące stale cechy swoje na potomstwo. Na podstawie wiary w istotę gatunkowości nowych form utworzył de Vries teorję nazwaną „teorją mutacji“.

Rozpatrując wszystkie wypadki powstawania tych nowych gatunków de Vries'a, opisanych w obszernem dziele, musimy przyjść do przekonania, że one należą do kategorji skądinąd znanych zjawisk, objętych nazwami: Gigantyzmu, Nanizmu i Pathologizmu, czyli kategorji olbrzymów, karłów i zwyrodniałych istot.

Wolno je nazywać gatunkami, jeżeli się komu podoba, ale odnośnie do świata zwierzęcego odmawiają zoologowie formom podobnym nazwy gatunków.

Mamy np. w społeczeństwie ludzkiem olbrzymów, ważących do 225 kgr., a znowu karłów, ważących zaledwie 9 kgr., gdybyśmy takie formy znaleźli w wolnej naturze, bylibyśmy je z pewnością uważali za dobre gatunki, bo przekazują potomstwu cechy swoje bardzo stale.

Takie same stosunki obserwujemy i w zakresie zwierząt hodowanych, ale tym wszystkim olbrzymom, karłom i zwyrodniałym nie przypisujemy znaczenia gatunków, jakkolwiek cechy swoje przekazują stale na potomstwo.

Jeżeli teorja de Vries'a znalazła pomiędzy botanikami gorących adeptów, tak, że nawet zasady tej odnowionej teorji starali się wprost stosować w celu wytłumaczenia zjawisk w zakresie społeczeństw ludzkich, uznając np. geniuszów człowieczeństwa za istoty mutacyjnie zrodzone, zaś powstanie rasy murzyńskiej, amerykańskiej, europejskiej, azjatyckiej za jasne dowody istnienia perjodów czynności twórczej w organizmach istot ożywionych, to znowu z drugiej strony pewna część mniej gorących eutuzjastów wystąpiła stanowczo przeciw teorji de Vries'a.

Z szeregu przeciwników teorji mutacji przywiodę tu zdanie botanika rosyjskiego prof. Komarowa. Ten uczony dowodami jasnymi i przekonywającymi wykazał niemożność przyjęcia teorji nawet dla botaników. Jednym z dowodów, o których mowa, jest przykład następujący.

(C. d. n.)

Dr. LEGEŻYŃSKI WIKTOR.

Miejskie lecznice dla suchotników
w Malchowie i Blankenfelde pod Berlinem.

Szczegółowy opis miejskich lecznic dla chorych piersiowych w Malchowie i Blankenfelde. (Dok.)

A) MALCHOW.

Malchow są to dobra miejskie, nabyte przez gminę berlińską celem przeprowadzenia kanalizacji miasta systemem zraszania (Berieselungssystem). Miejscowość ta leży na północ od Berlina. Miejska lecznica dla suchotników została tu otworzoną w roku 1891. Pierwotnie była przeznaczoną tak dla mężczyzn, jak i dla kobiet, jednak od lipca 1893 przeznaczono ją wyłącznie dla mężczyzn, a kobiety przeniesiono do Blankenfelde.

Zakład składa się z budynku głównego, przeznaczonego dla chorych, dalej z pralni, zakładu desinfekcyjnego, sali sekcyjnej i kostnicy, dalej z budynku do filtrowania wody, budynku do pompowania wody, w końcu z mieszkań dla Sióstr Miłosierdzia i lekarza i z obszernego parku.

Budynek główny oddzielony jest od gościńca ogrodem szerokim na 40 m., mierzy 82 m. długości i 13·50 względnie 15·60 m. szerokości. Środkowa część budynku wznosi się na dwa piętra a obydwa skrzydła są jednopiętrowe. Na obu końcach tych skrzydeł znajdują się duże kryte werandy a wzdłuż całego tylnego frontu zakładu ciągnie się długa otwarta weranda, z której zejść można wprost do parku. Pewną część tej werandy przeznaczono na tak zwaną „Liegehalle“,

t. j. halę do leżenia w świetle i świeżem powietrzu.

Budynek cały murowany z cegły, bez wyprawy, z uwidocznieniem czerwonych cegieł, kryty dachami z cementu drzewnego z okapem. Ściany zewnętrzne i dach zawierają oprócz tego izolacyjną warstwę powietrza; suteren pokryty sklepieniami z betonu ubijanego. Ogrzewanie centralne parą wodną o niskiem ciśnieniu z dwóch osobno umieszczonych kotłów. Z parteru winda przenosi potrawy i bieliznę. Wodociąg zaopatruje budynek w wodę zimną i ciepłą. Piecyki kaloryferów umieszczone są w nyżach pod oknami. Zakład posiada również kanalizację: płynna treść kanałowa odpływa rurą podziemną daleko poza zakład i użytą jest do nasączania pól. Oświetlenie wyłącznie naftą.

W parterze są umieszczone wzdłuż 2·80 m. szerokiego kurytarza, następujące ubikacje: kuchnia zakładowa z obmywalnią i izbą do czyszczenia naczynia, dwie ubikacje dla centralnego ogrzewania wraz ze składem węgla, dwie łazienki: każda ma dwie wanny, cztery pokoje dla służby, magazyn na ubrania, w których chorzy do zakładu przybywają, trzy ubikacje rezerwowe, izba na przechowywanie mleka, izba przeznaczona do czyszczenia butów, dalej wspólna jadalnia dla wszystkich chorych, ubikacja na zimne nacierania i na tusze.

Na pierwszem piętrze znajdują pomieszczenie w części budynku środkowej biuro, dwa pokoje dla Sióstr Miłosierdzia i dwa klozety. W obu zaś skrzydłach mieści się w każdem skrzydle po dwa pokoje do odosobniania (separatki) o dwu łóżkach, dwie duże sypialnie na 16, względnie 24 łóżek, sala przeznaczona na pobyt chorych w ciągu dnia, w której dawniej zarazem też i jadano. Z tej sali przechodzi się na narożną werandę oszkloną, z której zejść można szerokimi schodami do parku, lub do werandy otwartej, zbudowanej wzdłuż całego parteru od strony parku. Sypialnie mają 11·90 względnie 8·10 m. długości, 12·40 m. szerokości i 5·20 m. wysokości, tak, że na jedno łóżko wypada około 35 kubicznych metrów przestrzeni.

Drugie piętro wznosi się tylko nad środkową częścią budynku i zawiera dwie ubikacje przeznaczone na przechowywanie bielizny, lekarskie laboratorjum, pokój do badania chorych i jedną sypialnię dla Siostry Miłosierdzia.

Budynek cały jest pod względem architektonicznym skromnie ale z zachowaniem pewnej powagi wyposażonym. Ściany w kuchniach, łazienkach i laboratorjum są lakierowane, reszta pokoji malowane. Sypialnie aż do wysokości odpowiadającej zwykłemu obudowaniu drewnianemu, pociągnięte są farbą emaljową, zaś sale przeznaczone do przebywania w ciągu dnia, wyprawione są do tej samej wysokości cementem drzewnym.

Pralnia 19·50 m. długa, 9·50 szeroka, mieści kuchnię do prania, lokal do prasowania i maglowania i ubikację na utensylja. Prócz tego pomieszczono w niej też aparat desinfekcyjny, W piwnicach budynku znajduje się kostnica i sala sekcyjna.

W wodę zaopatruje zakład studnia, założona na folwarku, skąd woda tłoczoną jest motorem do filtrów systemu Piefke, aby ją uwolnić od zbyt wysokiej zawartości żelaza. Po przefiltrowaniu zbiera się woda w zbiorniku, umieszczonym na strychu dawniejszej gorzelni, gdzie właśnie ustawiono filtry i motor. Stamtąd doprowadzają wodę żelazne rury do zakładu i do pralni. Dzienne zapotrzebowanie wody wynosi około 70 kubicznych metrów.

Dawny dwór przerobiono na mieszkanie dla Sióstr Miłosierdzia, składające się z czterech pokoji, klozetu i łazienek i na mieszkanie dla lekarza zakładowego, które się składa z sześciu pokoji, kuchni, spiżarni, pokoju dla służby, klozetu i łazienek.

Park zakładowy jest bardzo malowniczo położony nad brzegiem dużego stawu, ozdobiony wieloma egzotycznymi krzewami, bardzo starannie utrzymany, zajmuje około 15 morgów powierzchni.

Koszta budowy całego zakładu wraz z wydatkiem na przebudowę mieszkań dla urzędników, założenie parku i t. p. wyniosły 187.951·66 marek, na sprawienie inwentarza wydano 56.706·79 marek, co razem wynosi 244.658·45 marek.

Ponieważ zakład pomieścić może 88 łóżek, więc wypada koszt jednego łóżka na 2780 marek.

Łóżka sporządzone są ze silnych rur gazowych, zawierają materac Grothoffa, jeden materac rosharowy, poduszkę pod głowę, bawełniane prześcieradło i 3 wełniane koce.

Umywalnie są w długim szeregu wpuszczone w łupkowe płyty i połączone z wodociągiem i kanałami.

Wszyscy chorzy otrzymują ubranie zakładowe, podobne jak w berlińskich miejskich szpitalach.

Zarząd zakładu spoczywa w rękach lekarza, mianowanego przez kuratorjum miejskich zakładów do ozdrowieńców i jednej ze Sióstr Miłosierdzia (właściwie „Schwester des Victoriahauses für Krankenpflege“).

Koszta dziennego utrzymania jednego chorego wynoszą około 2 marek.

Lekarz zakładowy utyskuje na nieodpowiedni materjał chorych, jaki do zakładu wchodzi, a to wskutek niewłaściwego przyjmowania w Berlinie chorych, którzy się zupełnie do zakładu nie kwalifikują, a przez to leczenie suchotników nie daje tak świetnych wyników, jakimi mogą się pochwalić inne niemieckie lecznice.

B) BLANKENFELDE.

Miejska lecznica dla chorych piersiowych w Blankenfelde została otwartą w lipcu 1892 r. i mieści 63 kobiet.

Na zakład ten przebudowano dawny dwór i dawną gorzelnię w Blankenfelde, miejscowości położonej na północ od Berlina a należącej do szeregu dóbr miejskich, przeznaczonych na zraszanie wodą kanałów berlińskich.

Budynek główny mierzy 60 m. długości i 10·80 szerokości. Tylny front wychodzi na park zakładowy.

W parterze pomieszczono kuchnię z piwnicą, pod nią zbudowaną, salę jadalną, która zarazem służy chorym do pobytu przez dzień i ma widok na park, dalej sześć pokoji na pomieszczenie chorych, 3 pokoje dla służby, klozet, łazienkę dla chorych i po jednej dla lekarza i dla Sióstr.

Na pierwszem piętrze znajdują się dwie większe sypialnie na 12 względnie 11 i 9 łóżek, klozet, łazienka, 4 pokoje dla chorych i mieszkanie dla lekarza, składające się z dwóch pokoji, dalej 3 pokoje dla służby i pokój do badania chorych.

Wzdłuż frontu zwróconego do parku, mamy otwartą werandę, której część oddzielono oszklonymi ściankami, jako halę przeznaczoną do leżenia dla chorych (Liegehalle).

Pralnia 18·40 m. długa i 7·30 m. szeroka, mieści w parterze kuchnię do prania, izbę do maglowania, izbę do prasowania bielizny i aparat desinfekcyjny na rzeczy i bieliznę. Na strychu urządzono suszarnię.

Zarząd gospodarski wykonuje podobnie jak i w Malchowie Siostra Miłosierdzia (Victoria-Schwester), a kierownictwo lekarskie oddano lekarzowi z lecznicy malchowskiej; w Blankenfelde mieszka jednak w zakładzie stale jego asystent.

WASYL STEFANYK.

KLONOWE LIŚCIE.

I.

Pościel zarzucona płótnem, koło stołu na tylnej i przedniej ławie zasiedli kmotrowie, na kraju pieca rządkiem dzieci. Pospuszczały rękawy, jak stado przepiórek, co spoczywają, ale zawsze gotowe do lotu. Kumowie za to siedzieli, jak wkopani, tylko rękami sięgali po chleb albo po porcję gorzałki, ale i ręce by się najchętniej nie poruszały, jeno, zgięte w kułak, spoczywałyby na kolanach. Nierade brały chleb i kieliszek. Kaganek kopcił na przypiecku, potworzył z kumów wielkie, czarne cienie i rzucił je na powałę. Tam na tragarzach połamały się one i także się nie ruszały.

Przy stole stał schylony Iwan, gospodarz w tej chałupie i ojciec małego dziecka, które ochrzczono.

— Bądźcie łaskawi, moi kumowie i pozwólcie jeszcze po jednej. Choć to nie wódka, jeno błoto; ale z chłopem, to tak jest: co gdzie w świecie najgorszego, to on to ma połknąć, co gdzie w świecie najcięższego, to on to ma zrobić...

— Natośmy zrodzeni — nabożnie odpowiadali kumowie. Kiedy kieliszek obszedł kolejkę,

to Iwan kładł go przy flaszce, z obawy, aby nie upadł na ziemię.

— A zakąście... I patrzcie, jaki mnie kłopot spotkał w same żniwa, w sam ogień. A ja, bihme, nie wiem, co z tego będzie? Czy mam zostawić robotę w polu, chodzić koło baby i dzieciom warzyć jeść, czy mam ich zostawić tu na Bożej opiece i o głodzie ciągnąć kosę? Bo to już tak ze mną będzie, w taki czas nikt do chałupy nie przyjdzie, choćby za wielkie pieniądze. Naści, Iwanie, dziecko i raduj się, bo jeszcze ich mało masz!

— Nie udawajcie, kumie, i nie obrażajcie Boga, bo to Jego wola, nie wasza. A dzieci — piana na wodzie. Coś na nie zajdzie — i wyniesiecie wszyściutkie na cmentarz.

— U mnie nie zajdzie, ale tam, kany jest jedno, tam zajdzie. Żebrak najlepiejby zrobił, żeby się nie przytulał do żony, żeby nawet nie spojrzał w tę stronę, gdzie żona! Wtedy i Pan Bóg nie da...

— Darmo tak, kumie, gadacie, tak nigdy nie będzie, bo ludzie mają się płodzić.

— Żeby to ludzie, ale to żebraki. A ja dlatego powiadam, że ty, dziadu, nie mnóż się, jak mysz, ty bądź kontent, jak masz łach na gzzbiecie, jak masz kawałek chleba, żebyś z głodu nie zdechł i jak cię nikt po pysku nie bije. Jak te trzy rzeczy masz, to ci powinno być dobrze, a od żony z daleka.

— Kumie Iwanie, dajcież spokój, bo żona, jak zwyczajnie, w takim interesie nie powinna tego słuchać, bo takie gadanie nie przyczyni jej zdrowia. Zostawcie to na insze czasy.

— Ja was bardzo przepraszam za takie moje gadanie, ale wy myślicie, że ja o nią dbam? albo i o siebie? Bihme, nie dbam — niech ich choć zaraz wytłucze i mnie z nimi! Ou-wa, tobyśmy dopiero raj na ziemi stracili, majątki poostawiali!

Kumowie nie odzywali się już i nie przeczyli, bo widzieli, że nie przekonają Iwana, i chcieli, żeby się prędzej wygadał, to prędzej ich puści spać.

Iwan wstał od stołu, stanął na środku izby, opuścił rękawy tak, jak dzieci na zapiecku, i zaczął do nich mówić:

— I czemu nie spadniecie mi z głowy? Ja wam otworzę i drzwi i okna, hej!...

Dzieci zasunęły się za piec tak, że ich już nie było widać.

— A dzisz, szarańcza, jeno chleba i chleba i chleba! A skądże ja ci tego chleba wezmę?! Ta na ten dwunasty snop nie raz trzeba kosą pociągnąć, nie raz się schylić, a tu z boku ogień ci się za pazuchę sypie. Ta cię każde źdźbło w serce kole!

To było do dzieci, a teraz zwrócił się do kumów.

— A wieczór jeno sie pokażesz w chałupie, taki, jak wiecheć, spocony, jak ta pomyjka, to oni ci w jeden głos, i żona i dzieci: niema chleba! I ty biedny człowiecze nie idziesz spać, ale zdejmujesz cep, i młócisz po ciemku, żeby jutro było co w żarna nasypać. Nieraz cię ten cep na snop zwali, i drętwiejesz we śnie aż do rana, aż cię rosa przysiędzie. I jeno oczy przetrzesz, to cię zaraz ta rosa żre, bo mało cię już bieda żre, jeszcze cię ona w nocy najdzie! Przemyjesz oczy i wleczesz się na łan, a takiś czarny, że słońce mierzchnie od ciebie.

— Nie gryźcie się dziećmi, Iwanie, bo to nie sami wy, ale Bóg im starszym ojcem od was.

— Ja sie z Bogiem za plecy nie biorę, ale poco On to wypuszcza na świat, jak gołego w tarninę? Puści na ziemię, talentu w ręce nie da, manny z nieba nie ześle, a potem cały świat w krzyk: Chłopi złodzieje, rozbójnicy, gubią swoją duszę! Stanie se jeden z drugim w cerkwi, taki gładki, że mucha po nim nie polezie, i kadzi i grzmi. Wy, powiada, strachu bożego dzieci swoich nie uczycie, wy je sami posyłacie kraść... jej, gdzież ja potrafię tak hańbić! Hej, kieby tak koło mojego dziecka i mamka i niańka i dobrodziejka chodziła, kieby mi tak ludzi wszystkiego naznosili, to i jabym jegomość, wiedział, jak dzieci uczyć! Ale moje dzieci razem z kurami na gnoju rosną, a jak co do czego przyjdzie, ot jak i teraz, to nikt nie wie, co one cały dzień jadły. Czy kradną, czy żebrzą, czy pasą — skądże ja wiem? Ja siekę wasze łany i nie jeno o dzieciach zapominam, ale i o sobie! Wybyście chcieli, żebym i wasze łany siekł i dzieci uczył. A wy od czego? Tak, ludzie, wy sami wiecie, jak się to u nas żyje...

— Wiemy, kumie, wiemy — jak nam nie wiedzieć, kiedy sami to życie paskudzimy.

— Ja patrzę na dziecko, ale nie myślę, żeby ono było grzeczne, żeby umiało w ład utrafić.

Ja jeno miarkuję, czy ono się już dobrze na nogach trzyma, żeby je wypchnąć na służbę — to tego czekam. Ja nie czekam, aż ono nabierze siły, aż rozumu nabierze, aż się rodziną nacieszy. Niech jeno bogacz albo pan pysk otworzy, to ja je tam zaraz zapcham, byle sie go zbyć. A potem ono goni za chudobą — nogi: jedna rana, rosa żre, ścierń kłuje, a ono goni — i płacze. Hej, zawróciłbyś ty mu chudobę, nogi byś mu wycałował, boś je spłodził, i sumienie cię gryzie — ale ty je mijasz, abo czasem i chowasz sie przed niem, żebyś jego płaczu nie słyszał...

Aż krwią nabiegł, aż się zadyszał.

— I rośnie ono w żłobie, pod stołem, abo i pod ławą, gryzie piąstkę i zmywa się łzami. A podrośnie, to i ukradnie co, bo ono nigdy nie zaznało dobra i chce się nacieszyć kradzionem. Masz — przychodzi do ciebie żandarm. Skuje cię, nabije sie ciebie, jakbyś był bydlęciem, boś ty ojcem złodzieja i musisz z nim być w zmowie. I jużeś złodziej na wieki! Ale to nie koniec — reszta na początku. Niechby syn, wasze dziecko, a u ludzi złodziej; niechby zgnił w kryminale, bo złodzieja nie szkoda. Niechby! Ale oni mu zdrowie odbiorą i do szpitala go dadzą, a potem wysyłają pismo do wójta, żeby ojciec płacił koszta. Z chałupy wyganiają, pod płot wyrzucają ze wszystkiem. Idziesz do wójta, po rękach go całujesz: Wójcie, wyciągnijcie mię z tego nieszczęścia. Ty — powiada wójt — biedny człowiek, to możnaby ci opuścić, ale jaką ja wygodę będę miał za twoją wygodę? Ruszysz plecami, złożysz się, jak scyzoryk, i powiadasz: Miesiąc wam będę robił darmo... Tak, czy nie tak, ludzie, prawdę gadam, czy breszę, jak pies?!

— Wszystko tak, cały gatunek taki, jednegoście słowa nie zmylili!

Iwan drżał cały — czuł na sobie cały ciężar swoich strasznych słów.

— Żebyście nie mówili, ludzie, że kraczę nad głowami swoich dzieci, jak kruk nad padliną — nie myślcie tak, ludzie, nie myślcie! Ja nie kraczę, ja mówię prawdę, mój żal kracze, moje serce kracze!

Oczy jego zabłysły i w nich odmalowała się straszna miłość ku dzieciom — szukał ich wzrokiem po izbie.

Bo to tak wygląda, jakby ja się pastwił nad swojemi dziećmi gorzej, niż największy wróg. A ja się, widzicie, nie pastwię — ja jeno wam rozgrzebał przed oczyma dzisiejszy dzień, i wczorajszy, i rok, i drugi, i popatrzyłem się na swoje dzieci, co one tam robią? A com ujrzał, tom powiedział. Ja poszedł do nich w gościnę, i krew moja zastygła na ich gospodarstwie...

Po chwili.

— Żeby to do tej Kanady nie było mórz... to jabym je do wora zabrał i na piechty bym z niemi szedł, żeby je zanieść daleko od tej nędzy. Jabym te morza brzegami obchodził...

Kumowie zapomnieli o odpoczynku, ale teraz zbaczyli go sobie, powstawali czemprędzej i poszli.

(D. n.) Tłum. *W. O.*

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. Henryk Wiercieński. *Opis statystyczny gubernji lubelskiej.* Warszawa 1901. 8-ka str. 492.

Omawiana książka powstała dzięki inicjatywie grona obywateli, którzy postanowili wydać monografię Lublina na pamiątkę wystawy rolniczo-przemysłowej, jaka roku ubiegłego odbyła się w tem mieście. Z zadania trudnego i niewdzięcznego wywiązał się autor bardzo dobrze, bo wyzyskał nietylko źródła drukowane, ale nadto wiele faktów podał na podstawie własnych badań i spostrzeżeń. Praca zaczyna się opisem „przyrody kraju“ (topografja, hydrografja, klimat, fauna i flora). Gubernja lubelska, jak okazuje się, została utworzona z części dawnego województwa lubelskiego, bełzkiego i maleńkiej części ruskiego. Przeważną część ludności zajmują Polacy i Rusini, bo 83 prc., dalej Żydzi 14·5 prc., Niemcy 1·5 prc., i Moskale 1 prc. Ludność ta została doskonale w tej pracy scharakteryzowana pod względem antropologicznym. Najgęściej zaludniony jest powiat Nowo-Aleksandryjski, najgorzej Zamojski. Przeciętnie przypada 86 mieszkańców na wiorstę. Według zajęć

przypada na rolnictwo 79·7 prc., handel 7·2 prc., fabryki i rzemiosła 4·9 prc. Według zaś wyznania liczba katolików wynosiła w r. 1899 62·6 prc., prawosławnych 19·8 prc., żydów 14·5 prc., protestantów 2·9 prc. Terytorjalne rozsiedlenie wykazuje, że powiaty zachodnie są katolickie, wschodnie — prawosławne (Chełmszczyzna) a żydzi trzymają się przeważnie miast i miasteczek. Bardzo ciekawe daty zawiera rozdział traktujący o żywieniu się ludu, o kwestji, poruszanej bardzo słabo zazwyczaj, a jednak tak ważnej. Co się tyczy stosunków ekonomicznych, to należy zauważyć, że własność chłopska stale w ostatnich latach się zwiększa, a dworska maleje. Stosunek wzajemny wynosi: gruntów dworskich 46·3 prc., chłopskich 48·3 prc. W gub. lubelskiej ludność rolnicza liczy 1,005.171 głów, posiadających rolę — pozbawionych gruntu 106.220. Przemysł zajmuje bardzo skromne stanowisko, boć to przecież kraj ściśle rolniczy. Inne rozdziały, które dla braku miejsca musimy pominąć milczeniem, mówią o oświacie, dobroczynności, etyce, trzeźwości, stanie zdrowotnym, rzemiosłach, handlu, instytucjach kredytowych i t. d. — Pamiętać należy, że „prawosławni" w lubelskiem — to prawie wyłącznie nieszczęśliwi unici. Nowa Aleksandrja to moskiewska nazwa Puław. *w. i.*

*

Fizyczne wychowanie dzieci. Nakładem M. Arcta w Warszawie. 1902.

W szeregu „Książek dla wszystkich" popularyzujących praktyczne wiadomości z ważnych działów nauki, jest to jedna z najpożyteczniejszych rozprawek. Zebrano w niej główne wskazówki, dotyczące hygjeny wieku dziecięcego, począwszy od niemowlęctwa, aż do lat młodzieńczych. Każda rozsądna matka uważnie przeczytać powinna ten elementarz dobrego wychowywania dzieci pod względem fizycznym, a znikłoby wkrótce wiele szkodliwych przesądów i uprzedzeń, które fatalnie odbijają się na młodem pokoleniu i nieraz także na późniejsze lata pozostawiają ślady w fizycznym i umysłowym rozwoju młodzieży.

Nie wszystkie wprawdzie przepisy tej książki dadzą się powszechnie zastosować, bo określa ona ideał wychowania fizycznego, który tylko w zamożniejszych domach osiągnięty być może. Atoli w granicach możności znajdzie w niej każdy wiele ważnych wskazówek i poważnych pouczeń, opartych na nauce i doświadczeniu.

Temat tensam bywał i w naszej literaturze popularnej często opracowany przez ludzi fachowych i specjalistów, lecz śmiało to twierdzić można, że książeczka ta przewyższa inne tego rodzaju wydawnictwa obfitością treści, popularnością wykładu i zwięzłością.

NOTATKI. *U badacza białoruszczyzny.* „W celach naukowych — pisze p. Iłgowski w „Kraju" z 11. bm. — zboczyłem w Słonimskie, odwiedzając zasłużonego badacza białoruszczyzny p. Michała Federowskiego, który ćwierć wieku życia poświęcił na zebranie materjałów do swego pomnikowego dzieła: „Lud białoruski", wydawanego przez krakowską Akademję umiejętności. Pierwsze dwa tomy tej cennej pracy już się pojawiły w druku, a ma być ich do 14. Złożyło się na te materjały 200 tys. notat etnograficznych i półtora tysiąca melodji białoruskich. W dziele pomienionem białorusin przedstawiony zostanie wyczerpująco pod względem bytowym i kulturalnym. Dzieło ilustrowane będzie mnóstwem rysunków typów, ubiorów, przedmiotow domowego użytku, zabytków starożytności i t. d. Można sobie wyobrazić, ile to wymagało pracy i kosztów! Do poznania Rusi litewskiej przyczyniło się i to, że p. Federowski przeżył na niej lat 25, zmieniając miejsca pobytu, jako dzierżawca, mający ciągłą styczność z ludem. Upadające dwory szlacheckie i roztrwaniane wciąż cenne księgozbiory, archiwa, zabytki starożytne i rzeczy pamiątkowe natchnęły p. Federowskiego, pomimo ograniczone środki jakie posiadał, myślą obywatelską ratowania tej ostatniej naszej spuścizny. W ciągu niespełna czterech lat udało mu się uratować tylko szczątki takich zbiorów, gdyż upadający syn marnotrawny chętniej oddaje zbiory rodzinne, na które złożyło się kilka pokoleń, zadarmo żydom, wstydząc się odsprzedać je sąsiadowi....."

„Ogółem księgozbiór p. Federowskiego zawiera przeszło 3 tys. dzieł, między któremi mnóstwo białych kruków, do tysiąca rycin i przeszło tysiąc numerów numizmatów".

„Oprócz tego są tu 22 kolekcje różnych starożytnych i etnograficznych przedmiotów, przeważnie krajowych. Jedne kolekcje bardziej pełne, inne zaledwie w zawiązku. Są tu wyroby ludowe tkackie, koronki i pasy, kilka tysięcy pieczęci z wieku XV. różnych rodów szlacheckich, dotąd żyjących i wygasłych, wreszcie kolekcja guzików dawnych. Ostatnią stanowią guziki szambelanów z różnych czasów, szkolne, wojskowe, wojewódzkie i t. d. Jest też kolekcja minerałów i paleontologiczna, zawierająca do 2 tysięcy okazów. Zwraca na siebie uwagę kolekcja wieku kamiennego. Są tu przeważnie narzędzia, pochodzące z nad Rosi w Wołkowyskiem. Wogóle trzy sąsiadujące z sobą powiaty słonimski, lidzki i wołkowyski, rozmaitością kształtów okazów wieku kamiennego i ich obfitością, jak to pokazują zbiory pp. Federowskiego i Szukiewicza, mogłyby wystarczyć dla zapełnienia kilku stołecznych muzeów".

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8